MOJE

WSPOMNIENIA I REFLEKSJE

O RODZINNYCH STRONACH

Tekst wywiadu jakiego udzieliłem panu Bartłomiejowi Gradzińskiemu z Michowa (parafia sąsiednia do mojej rodzinnej, abramowskiej☺), w przewidywaniu opublikowania go w lokalnej gazetce

Warszawa, 31.10.2015

Pan Bartłomiej Gradziński (BG): Witam serdecznie, Panie Generale.

Dziś Generał Brygady w stanie spoczynku, do niedawana Szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, uprzednio Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej, Doradca Rzecznika Praw Obywatelskich, a dawniej po prostu Staś, Stanisław z Glinnika. Czy miał Pan świadomość wtedy, w latach swej młodości, jaki przed Panem napiszę się życiorys, czy przeczuwał Pan że będzie pełen obowiązków, odpowiedzialności i wyzwań?

Nic z tych rzeczy. Biegałem beztrosko po łąkach, pasałem z obowiązku krowy, jesiennymi wieczorami pasąc krowy razem z kolegami paliliśmy ogniska i piekliśmy w nich kartofle (przesmaczne), pomagałem w polu przy żniwach, wykopkach, orce, pociłem się niemiłosiernie przy sianokosach i … czytałem książki, czytałem, czytałem i jeszcze raz czytałem w każdej możliwie wolnej chwili. Przeczytałem wszystkie w wiejskiej biblioteczce w Glinniku (były kiedyś takie;)), w szkolnej bibliotece w Wielkiem, z połowę chyba parafialnej biblioteki, no i jakąś jedną trzecią gminnej w Abramowie: ale 1/3 tylko dlatego, że już musiałem wyjechać do szkoły średniej do Łodzi. Wraz z tym czytaniem wzbogacała się moja wyobraźnia. W wyobraźni stworzyłem cały swój świat wokół Glinnika. W różnych miejscach były wirtualne morza, rzeki, góry, państwa, armie i floty, działy się różne wydumane przeze mnie historie, przygody lub wojny. Polska była tam oczywiście najsilniejsza. Ciągnęła się od naszego sadu aż do lasu, z dostępem do morza na ługach pod lasem. Rozgrywałem różne historie w swej wyobraźni w tych chwilach, w których nie mogłem czytać książek, np. idąc z krowami w pole lub na łąki, albo, gdy było już ciemno. Ale to nie były wyobrażenia o mnie, o mojej własnej roli. To był świat wyobraźni, który się dział, a ja byłem jego kreatorem, lecz przeżywałem te swoje historie tak, jakbym oglądał film. Gdyby to wtedy można było nagrywać te myśli, te wyobrażenia ….

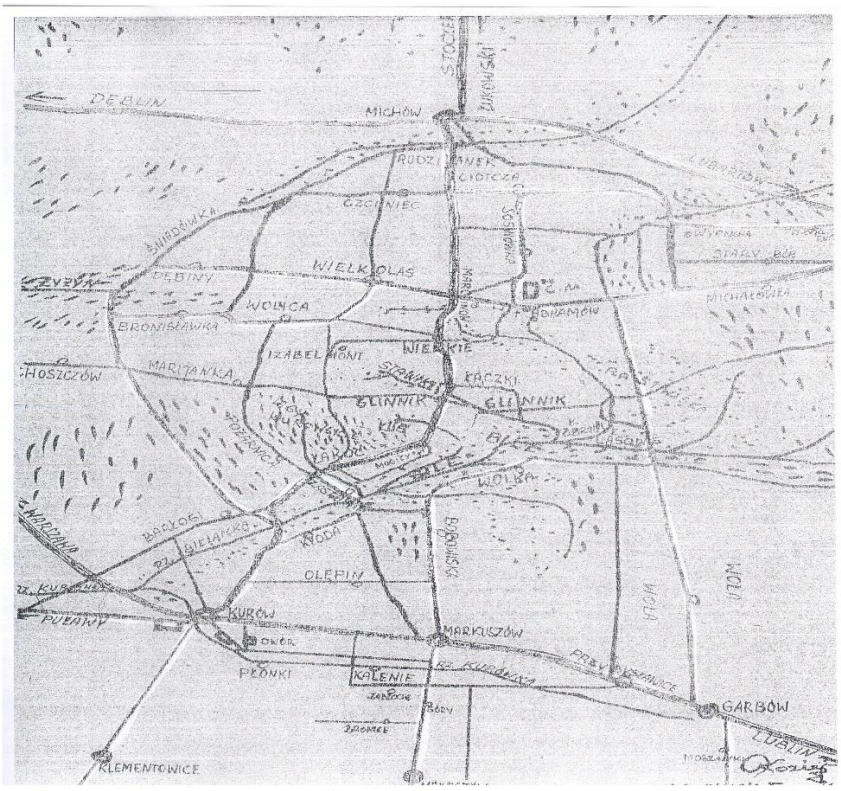

Rodzinne strony wg szkicu Taty

Jak pamiętam, pierwszy raz o swojej przyszłości musiałem pomyśleć, gdy Rodzice zaczęli zastanawiać się, co z moją szkołą średnią i zapytali: Stasiu, a czym ty byś chciał być? Marynarzem – bo akurat zaczytywałem się w pirackich historiach, a może Przygodach Robinsona Cruzoe. No ale konkretnie co ty byś tam robił na tym okręcie? No, no… - jakoś czułem, że przecież chłopak ze wsi nie może być kimś ważnym i bałem się, że palnę coś zupełnie niemożliwego – byłbym np. palaczem. Tata złapał się za głowę, Mama: dziecko, po to to nie musisz iść do szkoły średniej. Tym swoim marzeniem spowodowałem jednak, że rzeczywiście Rodzice starali się wysłać mnie do Szkoły Morskiej w Gdyni. Już przeszedłem badania (nawiasem mówiąc wtedy wykryto, że mam słaby wzrok i powinienem nosić okulary; kupiliśmy je, ale potem wstydząc się tego przestałem je nosić). Ostatecznie do Szkoły Morskiej nie poszedłem, bo akurat w tym roku zmieniła ona swój status ze szkoły średniej na wyższą. Było już za późno na starania się o ogólniak do Lubartowa. Trafiłem więc przypadkowo w ostatniej chwili do … Technikum Przetwórstwa Papierniczego w Łodzi, bo tam szedł mój kolega-sąsiad, którego ściągał do siebie jego wuj – dyrektor sąsiedniego Liceum Ogólnokształcącego. On jakoś tam załatwił, bym przyjechał na egzaminy wstępne razem z kolegą. Zdałem celująco i maturę zrobiłem też celująco. Dodajmy, że do szkoły oficerskiej też trafiłem przypadkowo. Wcale o fachu wojskowym nie marzyłem i tego nie planowałem.

Prawdę powiedziawszy, całe moje życie nie toczyło się wedle jakichś planów, z góry przemyślanych zamiarów, projektowania swojej przyszłości. W istocie – to raczej sekwencja przypadków lub decyzji w momentach pojawiania się konieczności wyboru.

BG: Urodził się Pan w roku 1943 w Glinniku, jak dla każdego dzieciństwo to szczególny okres. Czy to, gdzie Pan się urodził, wychowywał, miało wpływ na to, kim jest dzisiaj?

Bez wątpienia – tak! Byłem zahartowany trudami życia na wsi, wytrzymały i sprawny fizycznie. To było ważne w nowym świecie, do jakiego trafiłem idąc do szkoły średniej w Łodzi i później do szkoły oficerskiej Wrocławiu. Na tle wielu innych kolegów także w późniejszych latach czułem się więc pewnie, co dla chłopaka nie jest bez znaczenia. Miałem też twardy, chłopski charakter; byle przeszkoda nie była dla mnie straszna, nie poddawałem się łatwo. Byłem uparty jak przystało na lubelskiego chłopa. Miałem też szczęście do nauczycieli w szkole podstawowej – Pani Dutkiewicz

w Glinniku i małżeństwa Kozaków w Wielkiem, którzy zaszczepili mi zdolność samodzielnego rozumowania i wnioskowania. Ale chyba co najważniejsze – byłem przez Rodziców wychowany w szacunku do innych i bezwzględnej uczciwości osobistej. Być zawsze sobą – to dewiza mojego Taty, wpajana mi Jego przykładem. To wszystko zostało mi do dziś. No może już poza sprawnością fizyczną☺ Ale jak na ponad 70-latka – nie narzekam☺

BG: Jest Pan patriotą, osobą, dla której Ojczyzna to wielkie słowo, pełne szacunku, ale także odpowiedzialności za nią. A jak to było z tą małą ojczyzną, jak Pan ją wspomina?

Mapka Glinnika i okolic

Patriotyzm wysysa się chyba z mlekiem matki. I nigdy nie gaśnie. A tylko stopniowo poszerza się docierając od więzi rodzinnej aż do patriotyzmu narodowego. Pierwsze oznaki czucia się częścią jakiejś wspólnoty ponadrodzinnej ujawniają się, gdy wychodzimy spod ciągłej

3opieki mamy lub taty i zaczynamy przebywać bez nich z innymi. Tak też działo się, gdy poszliśmy do przedszkola i potem do szkoły podstawowej. Szkoła była mniej więcej w połowie wsi i po lekcjach dzieciaki w sposób naturalny dzieliły się na dwie grupy: jedna, która szła w jedną stronę Glinnika do swoich domów i druga – w drugą. Tak powstała pierwsza moja wspólnota, której czułem się częścią. Tych drugich, z drugiego (wschodniego) końca wsi nazywaliśmy po prostu „kuńcokami" (od „koniec", czyli w naszej gwarze „kuniec"). Dzieci, jak to dzieci, swarzyły się między sobą na lekcjach i przerwach, przenosząc te swary na po lekcjach. No i wtedy nadchodził czas praktykowania „patriotyzmu półglinnickiego" – stawało się po stronie tego „naszego" przeciw „kuńcokowi", jego towarzysze przeciw nam. Tak w bójkach i gonitwach hartowała się wspólnota. Później, od 5 klasy, już stanowiliśmy całość z Glinnika przeciw tym z Wielkiego i Izabelmontu.

Ale chyba najważniejszym momentem, w którym poczułem patriotyzm ojcowizny, była szkoła średnia w Łodzi. Dzieciak ze wsi rzucony w zupełnie dla siebie obce środowisko zaczynał tęsknić ogromnie za domem, Glinnikiem, kolegami, tym pięknym, znanym, przytulnym, ciepłym, bezpiecznym światem rodzinnych stron. Jedynym miejscem, które je przypominało, był kościół, a konkretnie znajdująca się w pobliżu bursy, w której mieszkaliśmy, Łódzka Katedra. Pieśni religijne, zapach kadzidła – były takie same, jak te w Abramowie, Michowie czy Kurowie. Po jakimś czasie człowiek opanowuje tę żałosną tęsknotę emocjonalną. Ale poszerza się poczucie patriotyzmu lokalnego. W pewnym momencie np. poczułem, że serce zaczyna mi bić mocniej, gdy gdzieś tam przypadkowo wyczytałem o klubie piłkarskim LEWART z Lubartowa, który walczył chyba w A-klasie, byłem dumny, gdy usłyszałem, że jest taki klub, jak Lublinianka, która coś tam wygrała itp., itd.

BG: Szkoła w Wielkim, czy to szczególne miejsce w Pańskim życiu? Jak Pan ją wspomina?

Po czterech klasach szkoły w Glinniku poszedłem na trzy lata do szkoły w Wielkiem. Tam nastąpiła integracja „glinnicoków" w kontrze do reszty (bo nas było najwięcej). Tam zaczęliśmy grywać w „dwa ognie", bo było boisko. Tam przeżyłem bunt przeciwko uczeniu się języka rosyjskiego i z tego powodu miałem pierwszą i jedyną w całym swoim życiu dwóję na koniec roku i poprawkę (którą po wakacjach zdałem celująco, bo nauczyłem się na pamięć całego podręcznika). Ale tam też miałem wspaniałych nauczycieli: matematyki i języka polskiego – państwa Kozaków (dyrektor szkoły i jego

małżonka). Z tego też powodu w średniej szkole byłem „mistrzem nad mistrze" w tych dwóch przedmiotach. W języku polskim pomagało mi oczywiście masowe czytanie książek. Pamiętam, jak byłem dumny ze swojej szkoły podstawowej i „Pani od polskiego", gdy w pewnym momencie, podczas dyskusji na jakiś temat z lektur, nauczycielka w Łodzi (gdzie chodziłem do szkoły średniej) zapytała: „dziecko, kto ciebie uczył języka polskiego"?

Szkoła w Wielkiem. Po latach spotkanie z kolejnym pokoleniem

BG: Czy ma Pan Generał takie (pozwolę je sobie tak nazwać) organoleptyczne wspomnienia, czyli inaczej mówiąc jakich smaków, zapachów i kolorów z tamtych czasów brakuje Panu dzisiaj?

Kolory – to zielone brzózki i tataraki na Zielone Świątki przystrajające słynną figurę w Glinniku przy szosie Kurów – Michów.

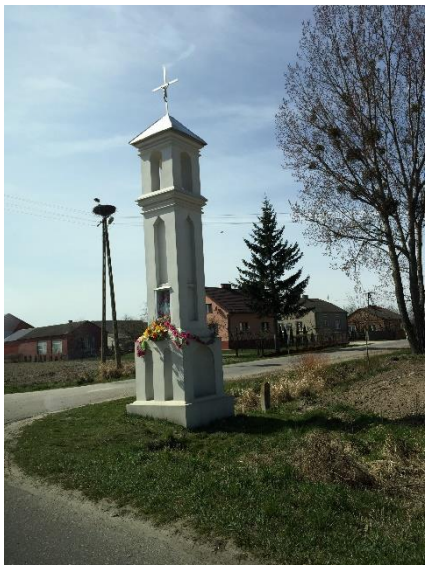

Figura w Glinniku, przy szosie Kurów – Michów

Melodie – to kolędy lub pieśni wielkanocne śpiewane w domu przez Mamę. Inne dźwięki z młodości – to groźne huki piorunów w czasie licznych jakoś wtedy burz i strach, bo często powodowały pożary gospodarstw w Glinniku i okolicznych wioskach. Strach było spać, gdy burze nadchodziły nocą. Wtedy w oknach wystawiało się zapalone gromnice. Piorunochrony były późniejszym „wynalazkiem".

Zapachy – to siano na łące i w stodole, gdzie np. u Babci chętnie się sypiało. To także zapach świeżego chleba wyjmowanego z pieca. Ale także „swojski" zapach chlewni lub obory, zwłaszcza zimowymi wieczorami, gdy nosiłem latarkę naftową (ona też miała charakterystyczny zapach), by przyświecać Mamie przy dojeniu krów i „obrządku", czyli przede wszystkim karmieniu świniaków.

A smaki – to … lody, pierwsze zapamiętane i do dziś najlepsze smaki lodów na odpuście w Michowie. To kiszone ogórki u Babci Koziejowej. To przyrządzane przez Babcie i Mamę pierogi z kaszy gryczanej, gorące, ale jedzone z chłodną, mocno soloną śmietaną. No i … ziemniaki pieczone w ognisku podczas pasania krów.

BG: Ludzie to ważna, część lokalnej świadomości. To wspomnienia o nich nie dają nam zapomnieć, o tym skąd pochodzimy. Na pewno w Pana życiu było ich wielu, czy szczególnie wspomina Pan kogoś z Michowa, Abramowa, Wielkiego, bo tych z Glinnika to na pewno?

Oczywiście pamiętam kolegów szkolnych. Każdy był inny, każdy był fajny. Eh, łezka się w oku kręci. Bo rozjechaliśmy się po świecie. Z jednym z nich, sąsiadem, Jankiem Zarzyką poszliśmy razem do szkoły średniej, Technikum Przetwórstwa Papierniczego w Łodzi. Od średniej szkoły już rzadziej zaglądałem w rodzinne strony, tym bardziej, że Rodzice sprzedali gospodarstwo w Glinniku i przeprowadzili się w Poznańskie.

Spośród osób starszych spoza rodziny pozostali mi w pamięci przede wszystkim moi nauczyciele: Pani Dutkiewicz z Glinnika i Państwo Kozakowie z Wielkiego. Oczywiście także sąsiedzi, zwłaszcza ci z Kolonii Glinnik, bo tak nazywała się część Glinnika, w której mieszkaliśmy, leżąca na zachód od szosy Kurów – Michów. Pozostaną mi w pamięci też starsi ludzie, którzy razem ze mną, choć w wieczorowych klasach, uczyli się pisać i czytać, w ramach walki z analfabetyzmem na wsi.

Wielkie oprócz szkoły kojarzy mi się z młynem i młynarzem, bo jeździliśmy tam z Tatą mleć ziarno. Wielkie pamiętam też z pewnego szokującego dla mnie zdarzenia. Otóż któregoś dnia podczas powrotu z

lekcji religii z kościoła w Abramowie złapała nas w Wielkiem ogromna burza. Jakaś gospodyni przygarnęła nas z drogi do domu. Siedzimy tam wystraszeni, a tu w pewnym momencie woda zaczyna wlewać się przez ściany domu. Wtedy naszły mnie myśli o nieposkromionej wielkości burzy, a nie o marności domu, w którym drewniane ściany zapewne nie były najlepiej scalone.

Abramów – to przede wszystkim kościół, stary, mały (dla nas wtedy był duży), drewniany (już go teraz nie ma, ale był ładniejszy od obecnego, murowanego); ksiądz, u którego wypożyczałem książki do czytania, gdy już przeczytałem cały księgozbiór wiejskiej biblioteki w Glinniku (pamiętam zwłaszcza jedną z nich: o Joannie d'Arc). Ale i kościelny. Z nim chyba wiąże się historia pomylenia daty moich urodzin. W dokumentach wszelkich mam datę urodzenia 8 VII 1943 r., a urodziłem się – wedle wszelkich rodzinnych danych – 8 XII (m.in. dlatego mam na drugie imię Marian, bo to dzień Marii). Pocieszam się, że w większości wielcy ludzie mieli pomylone daty urodzenia (np. Mickiewicz, Słowacki)☺. Moja hipoteza jest taka, że być może kościelny, zapisując datę pewnie dopiero w czasie chrztu i może po małym, zakrapianym przyjęciu, za nisko skrzyżował X i to X wyglądało jak V. Tak ją ktoś odczytał (zamiast XII - VII) sporządzając metrykę i … poszło. Próbowaliśmy to kiedyś razem z Tatą wyjaśnić u księdza, ale „śledztwo" nic nam nie dało. Do Abramowa chodziłem też ze swoim chrzestnym Edwardem (brat Taty) „na kawalerkę". Tam się ożenił i wyjechał potem „na Zachód" , w Olsztyńskie.

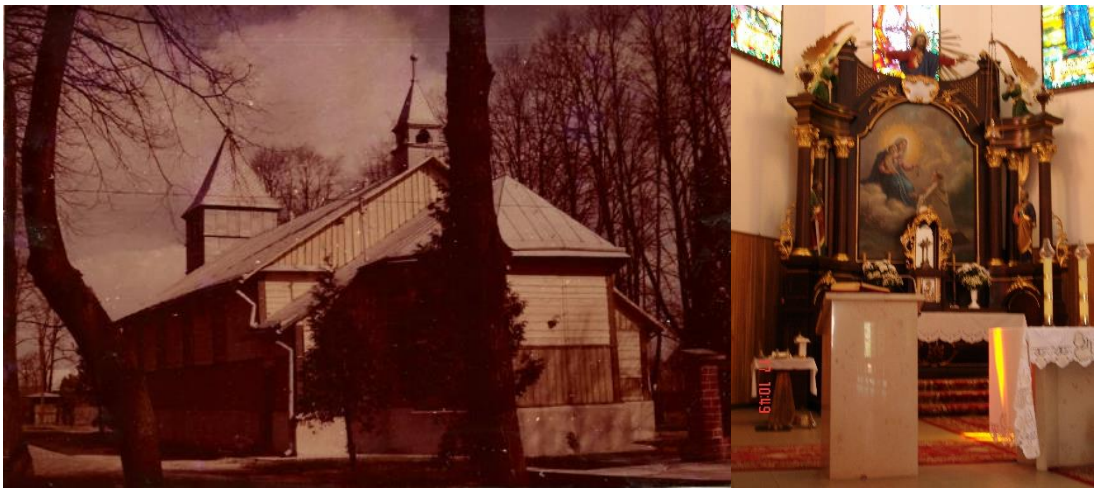

Stary kościół i ołtarz w Abramowie

BG: Nasz wspólny kontakt, rozpoczął Pan od wspomnień o michowskich odpustach. Michów do dziś z nich słynie. Jakie są Pańskie wspomnienia związane z tymi wydarzeniami, przeżyciami?

Michów to sąsiednia parafia. Więc siłą rzeczy, niejako tradycyjnie jeździło się tam na odpusty. Jako dzieciak zapamiętałem głównie … lody i ich smak-marzenie. Do dziś nie trafiłem na lepsze☺ Pamiętam też ogromne drzewa przed kościołem, bo dawały trochę cienia dla koni i ludzi. Na odpustach w Michowie spotykaliśmy się przy okazji z moją chrzestną (Stasią, siostrą Mamy), która wyszła za mąż za Romana Karpińskiego z Wólki za Michowem i tam przez wiele lat mieszkała. Michów to także lekarz – symetryczny do Kurowa, jeździło się do lekarza albo do Kurowa, albo do Michowa.

Kościół w Michowie

W późniejszym czasie poznałem śp. ks. płka Jana Osińskiego z Michowa, gdy był Sekretarzem Biskupa Polowego Tadeusza Płoskiego. Podczas jednego z moich spotkań w Ordynariacie Polowym zupełnie przypadkowo zgadaliśmy się, że jesteśmy „ziomalami" z sąsiednich parafii. Zapamiętałem Go jako niezwykle sympatycznego i uczynnego człowieka. Zginął śmiercią tragiczną w katastrofie w Smoleńsku. Miałem później okazję poznać też Jego Rodzinę.

BG: Lata czterdzieste to trudny okres, dla naszej ojczyzny. Długo po wojnie ziemia Lubartowska nie była spokojnym miejsce na ziemi. Mimo, iż działania wojenne dawno się skończyły, to nadal w regionie miały miejsce dramatyczne wydarzenia. Ciągle ścierały się tu interesy różnych grup społecznych. Czy był Pan świadkiem, jakichś ważnych lokalnych wydarzeń z punktu widzenia naszej historii?

Osobiście – nie bardzo. Ale w domu były gorące rozmowy np. o czasach okupacji. Moja Mama była postrzelona w nogę przez Niemców, którzy strzelali do uciekających partyzantów w Glinniku. Sąsiednia wioska, Łąkoć, została spalona, a mężczyźni rozstrzelani w odwecie za akcje partyzancką w lesie między Łąkocią i Glinnikiem.

Tata z czasów kawalerskich (w białym płaszczu) i Mama

Po wojnie siły bezpieczeństwa ścigały partyzantów w Glinniku (grupa pod przywództwem „Szatana"), doprowadzając także do spalenia części naszej wioski. Pamiętam też trochę propagandowe akcje przed wyborami. W połowie latach pięćdziesiątych nad łąki w Glinniku dotarł jakiś balon z Zachodu z ulotkami zawierającymi tzw. zeznania Józefa Światło, szefa bezpieki, który uciekł na Zachód i ujawnił drastyczne metody śledztw. Sam pewnego poranka, idąc przez łąki do szkoły, znalazłem taką broszurkę z cieniutkiej bibuły. Chodziły słuchy, że ktoś znalazł także zrzucone aparaty radiowe. A te w tamtych czasach były w oczach władz bardzo podejrzane, bo zapewniały dostęp do informacji Wolnej Europy lub Głosu Ameryki. Pamiętam, że w domu jako jedni z nielicznych chyba we wsi, mieliśmy takie radio słuchawkowe na kryształki i wieczorami schodzili się sąsiedzi, by coś w tajemnicy posłuchać i pokomentować.

Z innych wydarzeń pamiętam dożynki organizowane przez całą wioskę. Dla dzieciaka przywykłego, że najwyższy szczebel zespołowej pracy to była praca rodziny w polu przy żniwach lub wykopkach, takie przedsięwzięcie z udziałem wielu ludzi, sprzętu, poprzystrajanych koni było

czymś wyjątkowym i atrakcyjnym. Dopiero dużo później pojawiły się maszyny, najpierw młockarnie, które zespołowość pracy poszerzały na szerszą rodzinę i krąg sąsiadów. Ważnym wydarzeniem była wizyta duszpasterska w parafii ówczesnego biskupa lubelskiego, Stefana Wyszyńskiego. Jako dzieciaki bawiliśmy się potem wielokrotnie w organizowanie takiego orszaku powitalnego, z rzucaniem płatków z kwiatów na jego trasie. Nie zapomnę także pierwszych zanotowanych w pamięci „herodów" chodzących po wsi po świętach Bożego Narodzenia. Oglądałem ich przedstawienie najpierw u sąsiada i potem biegiem do domu, by znowu obejrzeć u siebie. Nie mogłem się nadziwić, jak to jest, że temu Herodowi śmierć dopiero co ucięła głowę u sąsiada, a on znowu do nas przyszedł żywy.

BG: Wspomina, Pan iż rozumiał decyzje swoich rodziców o wyprowadzce do Wielkopolski a mimo wszystko wolał Pan, by zostali w Glinniku. Był więc Pan przywiązany do Lubelszczyzny jak Pan wspomina ten czas?

Przeprowadzka Rodziców nastąpiła, gdy ja byłem w szkole średniej w Łodzi, więc nie widziałem, jak wyglądała wyprowadzka i jak moi Rodzice, zwłaszcza Mama, to przeżywali. Wiem, że bardzo. Ja, jako już wówczas zahartowany 5-letni tułacz poza domem, specjalnie tego nie przeżywałem. Byłem ciekaw, jak wygląda to nowe gospodarstwo. A było wspaniałe. 10-krotnie większe i w jednym „kawałku", a nie w kilku kawałeczkach rozrzuconych po Glinniku. Pałac zamiast malutkiej chatynki, potężna, murowana obora ze stodołą, przestronne podwórko (a nie kącik, w którym Tata zawsze musiał ręcznie odwracać wóz przy wyjeździe, bo nie można było nawrócić nim konno), duży sad owocowy, żywopłot oddzielający od drogi. Ale pole było zapuszczone, zachwaszczone, zaperzone, wyjałowione. Rodzice przez wiele lat musieli go pielęgnować, by doprowadzić wreszcie – po lubelsku – do kwitnącego wręcz stanu.

Tęsknota za Glinnikiem i okolicami, za Lubelszczyzną zaczęła dopiero przychodzić po latach. W zasadzie chyba dopiero wtedy, gdy doszedłem do wniosku, że swoim dzieciakom muszę przecież pokazywać rodzinne strony, ich korzenie. I tak rozpoczął się mój powrót do ojcowizny, z jej stolicą Glinnikiem. Mam tu jeszcze sporo rodziny ze strony Taty i Mamy, których systematycznie staram się odwiedzać. Staram się chodzić po łąkach i polach, przykucać, by z właściwej wysokości oglądać okolice, tak, jak widziałem je oczami dziecka. No i przede wszystkim – zawsze chodzić na cmentarz, do korzeni, na groby Pradziadków, Dziadków i Mamy, która zmarła, gdy miałem 3,5 roku.

Syn, wnuczki i wnukowie na ziemi przodków

BG: W tychże wspomnieniach czytam też, jak ważną rolę w kształtowaniu Pana osobowości miał ojciec. A czy on mieszkając już po za Lubelszczyzną często wracał we wspomnieniach do Glinnika, Abramowa, Michowa?

W rozmowach z nami w nowym domu temat Glinnika w zasadzie nie istniał. Ale wiem, że Rodzice bardzo to przeżywali. Nie chcieli jednak o tym dyskutować, by nie wzbudzać emocji, nie chcieli też stworzyć jakiegokolwiek pretekstu do pomyślenia nawet, że to nie był słuszny wybór. Ale też – przez swoją ciężką pracę na nowym gospodarstwie - zakochali się w nim. W

realnych ocenach nie żałowali tego wyboru. Sentymentalnie zapewne nie było to łatwe. Pomocny zapewne był fakt, ze w sąsiedniej wiosce mieszkał brat Mamy, który dużo wcześniej też tutaj się przeprowadził (jego żona nie wytrzymała psychicznie tej wyprowadzki i popełniła samobójstwo w przeddzień wyjazdu), a w drugiej sąsiedniej wiosce jeszcze jeden znajomy z naszych okolic.

BG: Czy, w Pańskiej pamięci, utkwiły jeszcze jakieś ciekawe przekazy od rodziców, członków rodziny, starszych kolegów, związane z Pańską małą ojczyzną?

Tata pozostawił nam pisane w ostatnich latach swego życia przemyślenia i opowiastki. Opublikowaliśmy je w Almanachu Rodzin Koziej. Gdybyście byli Państwo zainteresowani ich publikacją, to mogę je udostępnić.

BG: Większość swego życia spędził Pan poza miejscem urodzenia. Tęskni Pan za tym swoim, Glinnikiem z okresu dzieciństwa?

Tęsknię bardzo i nieustannie. Zauważyłem, że wraz z wiekiem to się nasila.

A może to ziemia rodzinna tak wzywa swych synów do siebie:

Stąd wyszedłeś, tu wracaj.

Tu jest twój początek i koniec.

Z tego prochu powstałeś, w ten proch się obracaj.

BG: Czy jest coś, co chciałby przekazać, swoim krajanom, którzy dopiero teraz zaczynają swoje dorosłe życie tam, gdzie kiedyś rozpoczęło się Pańskie?

Trzymać fason. Bez kompleksów! Ta ziemia daje siłę!

Wszystko jest do osiągnięcia.

No i nie zapominać o korzeniach. Zresztą one same nie dadzą o sobie zapomnieć.

Córka, syn, wnuczki i wnukowie – pilnują swoich korzeni na Starym Mieście w Lublinie☺

****